Zeszyt 23. Lwów dnia 20. Sierpnia 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark. | WYCHODZI dnia 10go, 20go i 30go każdego miesiąca. | W. MANIECKI Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

Prenumeratę i inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Marjacki. hotel europejski.

Złamane Serca.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI.“

XIV.

(C. d.) Pędził on najróżnorodniejszemi trapiony myślami i mało sto razy odczytał w drodze telegram Storcha, usiłując między wierszami znaleźć rozwiązanie zagadki. Daremne starania! Prawdy wcale nie odgadł, myśli bowiem jego były od niej tak dalekie, jak daleką jest rzeczywistość od nieprawdopodobieństwa. Za nieprawdopodobne zaś byłby poczytywał przypuszczenie, że pan Wybicki z córką jest we Lwowie, i że Storcha depesza właśnie ich się dotyczy. Myślał więc o wszystkiem i o wszystkich, tylko nie o tej, której obraz nosił w sercu.

Stanąwszy we Lwowie, zamiast pojechać do wuja, najpierw pospieszył do magazynu, który o tej godzinie powinien był być otwarty. W rzeczy samej zastał w nim jeszcze Storcha, ale już ubranego i na wychodnem; stróż zamykał właśnie wystawę. Juljan przywitawszy się z przyjacielem, żądał zaraz wyjaśnień.

— A to gorąco kąpany! — odrzekł Storch z uśmiechem. — Przecie nie zechcesz, bym tu, w magazynie, w czapce na głowie i w obecności głupiego stróża, mówił o rzeczach, które dla ciebie są święte.

— Dla mnie święte? — powtórzył Juljan, z największem zdziwieniem wpatrując się w mówiącego, który stal uśmiechnięty, zadowolony, że tego, którego dni kilka gorączkowo oczekiwał, ma nareszcie przy sobie.

— Cieszy mnie — odparł Storch — żem jeszcze bardziej twoją ciekawość zaostrzył... Pojedziemy zaraz do mnie i tam ci wszystko opowiem, tymczasem zaś musisz zadowolić się zapewnieniem, że to, co usłyszysz, sprawi ci nie tyle przykrości, co przyjemności.

— Nie tyle przykrości, co przyjemności? — Juljan znowu powtórzył. — Zaiste, mówisz jak wyrocznia delficka, i gdybym nie wiedział, że mimo lat młodych jesteś już starym dziwakiem, gotówbym się doprawdy rozgniewać!

Storch słowa więcej nie powiedziawszy, wyszedł z magazynu drzwiami bocznemi, wsiadł do dorożki, którą Juljan przyjechał i czekał póki przyjaciel obok niego miejsca nie zajmie. Mrucząc coś do siebie, wsiadł nareszcie Juljan, poczem dorożkarz ruszył z kopyta.

Gdy się znaleźli w ciepłym pokoiku Storcha, ten nie wystawiając więcej na próbę cierpliwości Juljana, opowiedział mu szczegółowo, w jakim celu do Lwowa go sprowadził. Młody człowiek słuchał jak bajki z Tysiąca i jednej nocy. Storch kończył temi słowy:

— Wiedząc, że panna Wybicka nie była ci obojętną, a lękając się, by za nim ty wrócisz, Czudek nie zgubił tych ludzi, uznałem za konieczne sprowadzić cię tu niezwłocznie. Jeżelim źle zrobił, przepraszam cię najmocniej!

Juljan, który słuchając opowiadania był bardzo blady i tylko oczy mocniej mu się świeciły, przy końcu spłonął cały rumieńcem radości, a rzucając się Storchowi na szyję, zawołał:

— Dzięki ci, dzięki, mój drogi przyjacielu! Ja zawsze mówiłem, że ty masz serce nie kupieckie, ale nasze, polskie, szlacheckie! Bóg ci to nagrodzi, bo wolałbym być żebrakiem, niż stracić tę osobę. Muszę ci się przyznać, że ją kocham, kocham z całej duszy!

— Nie wątpię... warta miłości.

— Prawda? Ale ten Czudek! kto by był przypuścił, że to człowiek taki nikczemny! Przecie w życiu najmniejszej mu nigdy przykrości nie wyrządziłem, przeciwnie pomagałem mu zawsze jak bratu.

— A nie przypominasz sobie bajeczki o żmiji i wieśniaku? — Storch zapytał.

— Masz słuszność — Juljan potwierdził. — Niestety widzę, że są ludzie, którzy najbardziej nienawidzą swoich dobroczyńców.

Jakiś czas mówili jeszcze o Czudku, a potem Juljan rzekł z pospiechem:

— Wszystko to dobre mój drogi, lecz dotąd nie wiem gdzie mieszka pan Wybicki.

— Chociaż ci dam adres, na nic ci się on dziś nie przyda.

— Jak to, na nic?

— Bo przecie dziś do nich nie pójdziesz.

— Owszem, pójdę i to natychmiast! W takich wypadkach mój drogi, każda chwila zwłoki może być zgubną. Skoro raz wiemy, że Czudek jest łotrem skończonym, więc trzeba mu jak najprędzej zamknąć drogę do tych ludzi nieszczęśliwych, a tak drogich memu sercu.

Storch chciał perswadować, wstrzymać Juljana, lecz tym razem jakoś mu się nieudało. Juljan zapomniawszy o wuju, postanowił niezwłocznie udać się pod Wysoki Zamek; że zaś chciał, by ta wizyta wypadła ile możności przyzwoicie, skłonił więc Storcha, by mu towarzyszył. Storch wykręcał się jak mógł i umiał, ale wszystko nie pomogło. Juljan zaklął go na przyjaźń i to skutkowało. Ociągając się jeszcze i krzywiąc, wciągnął nakoniec paletot, poczem przyjaciele wyszli na ulicę.

Wróćmy do Wandzi.

XV.

Adwokat był może nie tyle zdziwiony postępowaniem Wandzi, co zgorszony. Kto słyszał, aby panna dobrze urodzona chodziła z dzbankiem po wodę. Wszak to zajęcie sług, nie pań. Pod tym względem, jak zresztą pod bardzo wielu innemi względami, dr. Czudek był kubek w kubek podobnym do tych ludzi, którzy pochodząc z najniższej warstwy społecznej, a dobiwszy się wyższego stanowiska, gardzą każdem zajęciem, któremu niegdyś może z konieczności się oddawali. Oni boją się, by ich nie poznano... Znałem córkę senatorów i wojewodów, która zajęta wieczorami w gronie rodzinnem, chętnie dorzucała drewek do pieca. Nauczycielem jej dzieci był syn włościański, człowiek zresztą bardzo przyzwoity i zacny. Gdy raz, nie chcąc dzwonić na służącego, a sama będąc czemś ważnem zajęta, poprosiła go grzecznie, by ją wyręczył i do pieca włożył kilka polanek, otrzymała od niego cierpką odpowiedź, „że się w piecu nie uczył palić.“ To, co nie ubliżało córce senatorskiej, poczytywał sobie za wstyd syn włościanina! Biedny, nie wiedział, że żaden człowiek wyższy nie wstydzi się zajęć uczciwych.

Adwokat był więc zgorszony, a ponieważ takt w postępowaniu nie należał do jego cnót towarzyskich, więc zaledwie ochłonął z pierwszego wrażenia, zaczął Wandzi robić cierpkie wymówki. Dziewica słuchała, nie rozumiejąc ani tego tonu, ani tej opieki.

— Daruj panie mecenasie — rzekła — lecz muszę ci powiedzieć, że obowiązki córki nierównie wyżej stawiam, niż pańską o mnie opinję.

— Jakem poczciw — pospieszył Czudek oświadczyć — kochana pani ma słuszność zupełną, ale z drugiej strony czy też kochana pani nie myślała o tem, że bez trudności dało by się jedno z drugiem pogodzić?

— Co pan przez to chcesz powiedzieć?

— Oto, że i papie dobrodziejowi było by lepiej, a i pani nie potrzebowałabyś tak biedować.

— Nie wiem doprawdy co byś mi pan radził — odrzekła Wandzia niedomyślną udając.

— Kochana pani nie wie! — przemówił adwokat, robiąc ile możności czułe oczy — pani nie wie, co jabym radził? Jakem poczciw mnie to do rozpaczy przyprowadza! Wszak od tak dawna bywam w domu państwa i staram się o łaskawe względy pani...

— A! pan znowu wracasz do dawnego przedmiotu!

— Pewnie, że wracam, bo jest to przedmiot jedyny, o którym myślę i sercu memu najdroższy. O! tak pani, najdroższy mojemu sercu!

Pociesznie musiał Czudek wyglądać, patetycznie te słowa wygłosiwszy, bo jakkolwiek położenie nie było zabawne, Wandzia uśmiechnęła się do siebie.

— Bardzo mi przykro — rzekła — że myśląc o mnie, marnujesz pan sobie czas, który, jak to nie raz mówiłeś, jest dla pana bardzo drogi.

— Trudna rada — odpowiedział — gdy człowiek kocha, wszystko z siebie zrobi i kozła i barana. Ja nie tylko mój czas radbym pani poświęcić, ale także moje stanowisko, mój majątek, siebie całego! I cóż kochana pani na to, cóż?

Wandzia milczała. W pamięci stanął jej teraz sir Wiliam Ellington, ten długi i śmieszny młodzieniec, który przed laty, ustroiwszy się jak papuga, przyszedł jej się oświadczyć. Dziś słuchała drugich oświadczyn. Wprawdzie i tamtego nie kochała — lecz jak odmiennemi byli ci dwaj ludzie! Dla tamtego musiała mieć współczucie — dla tego nic, krom pogardy.

Adwokat biorąc jej milczenie za dobrą wróżbę, przysunął sobie krzesło i tak dalej mówił:

— Zdaje mi się, kochana pani, że już czas najwyższy zdecydować się ostatecznie. Położenie

wasze jest okropne... pieniędzy nie macie, w dodatku papa dobrodziej chory. Czyż w takich warunkach nie lepiej przymusić się, a choćby nawet zrobić z siebie małą ofiarę, niż doprowadzić do ostateczności? Jakem poczciw, ja kochanej pani nie rozumiem! Niby to pani ojca kochasz, a mimo to nic nie czynisz, aby mu ulżyć.

— Ja nic nie czynię? — zapytała Wandzia dumnie czoło podnosząc. — Jak widzę pan jesteś gotów nawet powiedzieć, że jestem złą córką.

— Ja tego nie mówię, jakem poczciw nie mówię! Miałbym chyba psi język, gdybym coś podobnego utrzymywał, chociaż kto inny mógł by doprawdy przypuścić, że kochana pani nie jesteś córką najlepszą. Przecie papa dobrodziej nie tego od kochanej pani żąda, byś chodziła z dzbankiem po wodę... przeciwnie, gdyby to wiedział, zmartwił by się prawdziwie — natomiast ma on prawo żądać, byś pani mogąc, przyszłość sobie zabezpieczyła, a jemu nie dała biedować na stare lata. O! tak kochana pani tego nie tylko on, lecz i Bóg od ciebie żąda! Jeżeli dziś w nocy kryzys minie szczęśliwie i od jutra papa dobrodziej zacznie wracać do zdrowia, to ciekawym bardzo, jak sobie kochana pani poradzi. Taki rekonwalescent więcej kosztuje, niż chory.

Wandzia słuchając adwokata, zadawała sobie w duchu pytanie, czy Bóg w rzeczy samej nie żąda od niej takiej ofiary? Jak długo miała oczy w posadzkę utkwione mogła przypuszczać, że dla ojca powinna by się może poświęcić — lecz wzrok podniósłszy, spojrzała na mówiącego, w jednej chwili pozbyła się wahania. Szatański wyraz na zmęczonej twarzy adwokata, przejmował ją jak dawniej pogardą. Do uczucia niechęci przyłączyło się jeszcze postanowienie niezłomne. Dość długo już znoszę — pomyślała — trzeba z nim raz skończyć. Niech się gniewa, niech się na mnie mści nawet, wszystko mi jedno! Ręczę, że ojciec sam, jeżeli Bóg da, że wyzdrowieje, usłyszawszy jak sobie z nim postąpiłam, za dobre mi to weźmie. Trzeba więc zerwać tę znajomość skandaliczną!

Właśnie gdy Wandzia powstawała, aby Czudkowi dać odprawę ostateczną, przez drzwi, które do sieni były odchylone, weszli cicho Juljan i Storch do kuchni. Frania, która mimo rzadkiej serca dobroci, lubiła zawsze słuchać rozmowy panienki z adwokatem, stała właśnie przy drzwiach, do pokoju prowadzących, a teraz na pół otwartych, i z najwyższą ciekawością czekała, co powie jej panienka. Słysząc za sobą ciche kroki dwóch mężczyzn, którzy weszli w kaloszach, obróciła się szybko ku nim, a przyłożywszy palec do ust, szepnęła:

— Pst! pst!

Frania uczyniła to bezwiednie, nie zdając sobie sprawy ze swego postępowania; młodzi zaś ludzie, nie wiedząc, co znaczy takie ostrzeżenie, zatrzymali się na środku kuchni i tym sposobem słyszeli następującą rozmowę:

— Zdaje mi się panie mecenasie — przemówiła Wandzia — że już zbyt długo znoszę pańskie impertynencje. Nieszczęśliwy wypadek zrządził, żeś nas pan poznał, gdyśmy do kraju wracali... a stokroć dla nas nieszczęśliwszy, żeśmy pana tu spotkali. Od dłuższego czasu prześladujesz mnie pan miłością, która mnie oburza, a korzystając w sposób najniegodziwszy z przykrego naszego położenia, chcesz mię zmusić, bym wyszła za pana... Na szczęście ani Bóg, ani ojciec, ani moje sumienie nie żąda odemnie takiej ofiary! Ja mogę wyjść tylko za człowieka, którego kocham, nigdy za takiego, którym pogardzam!

— Jakem poczciw, kochana pani umie ślicznie mówić! — rzekł Czudek wesołość udając — i gdybym nie wiedział, że to żarty, doprawdy gotów bym się obrazić.

— Ja zaś panu powtarzam — przemówiła znowu Wandzia z naciskiem — że nie żartuję, i bardzo mi będzie miło, jeżeli obraziwszy się wyjdziesz pan od nas i więcej tu nie wrócisz!

— Tak, tak... a to ślicznie! Jakem poczciw bardzo grzecznie! Więc szlachta polska tak u siebie gości przyjmuje? A czy też kochana pani pomyślałaś o następstwach? A jeźli bym naprzykład chciał się zemścić? Ciekawym kto by pani wtedy pomógł?... Ja jednak mściwym nie jestem, ja papie dobrodziejowi życzę zdrowia najdłuższego, lecz jeźliby broń Boże umarł, bo i to możliwe, to wie kochana pani co by nastąpiło? Oto chcąc, mógłbym przy pomocy moich przyjaciół w policji, kazać kochaną panię, jako osobę pozbawioną środków utrzymania, wysłać za granicę sposobem przymusowym, a nie bardzo miłym i honorowym „szupasikiem!“

— Łotrze! — dał się słyszeć głos Juljana, który pochwyciwszy Czudka za kołnierz, ku drzwiom go odrzucił, a drugą ręką przytrzymał omdlewającą Wandzię. — Łotrze! wynoś się czemprędzej jeśli ci życie miłe, bo ta oto pani, którą znieważyłeś, jest moją narzeczoną.

Adwokat byłby może jeszcze co powiedział, licząc, że Juljan Wandzią teraz zajęty, nic mu nie zrobi, lecz ujrzawszy we drzwiach Storcha, który gniewnie go mierzył, za jego zaś plecyma nie mniej surową twarz Frani, znalazł w mgnieniu oka kapelusz i jednym susem wypadł do sieni. Frania, która oddawna chciała się na nim zemścić, uznawszy tę chwilę za najstosowniejszą, pochwyciła konewkę zimnej wody i nią była by adwokata z pewnością oblała, gdyby nie jego anioł stróż, który go szybko na dół po wschodach sprowadził. Czudek znalazł się bez tchu na ulicy, a Frania zmartwiona wróciła z wodą do kuchni.

Wandzia przy ostatnich słowach Czudka, zachwiała się, bo jej w oczach pociemniało, ale dopiero ujrzawszy Juljana i usłyszawszy głos jego, straciła przytomność. I jakże nie miała jej stracić!... Wszak nazwał ją swoją narzeczoną!. Przybiegła Frania, znalazła się woda kolońska, poczem odzyskała przytomność. Westchnęła, spojrzała na siedzącego obok niej Juljana, który z obawą w nią się wpatrywał, słodki uśmiech na ustach się pojawił i znowu oczy przymknęła, by zachować piękny widok, który jej serce do głębi poruszył. Wszystko to trwało jedną chwilę...

— Przepraszam cię pani — Juljan słodko przemówił — że podczas gdy twój ojciec jest chory i mimo że mnie do tego nikt nie upoważnił, zrobiłem tu taką awanturę... Przedewszystkiem zaś — dodał ciszej — muszę cię pani prosić o przebaczenie.

— Za co?

— Żem sobie przywłaszczył tytuł, do którego najmniejszego nie mam prawa.

— Więc pan tego żałujesz? — zapytała Wandzia z odcieniem wyrzutu.

Zamiast odpowiedzieć, ujął ją za rękę i uścisnął tak czule, że aż w piersi dziewiczej serce głośniej zakołatało, a oczy znowu się przymknęły, jakby drugi raz miała omdleć. Storch wąsa podkręcał i udawał, że nic nie widzi; Frania natomiast patrzyła na nich przez drzwi odchylone i w oczach miała łzy radości.

Gdyby nie obecność Storcha, Juljan był by może co więcej powiedział; rad nie rad musiał poprzestać na tym niemym, a tak wymownym ręki uścisku! Wandzia była i tem uszczęśliwiona... Równie szczęśliwą ona jeszcze nigdy nie była. Czy wspomnienie dnia tego zatrze się kiedy w jej pamięci?

XVI.

Dr. Czudek jako człowiek roztropny, lubił wszystko obliczać i przewidywać i nie raz żartował sobie z tych, którzy się uskarzali, że ich wypadki niespodziewanie zaskoczyły. Ponieważ o własnych siłach doszedł do czegoś, więc mu się zdawało, że od woli człowieka wszystko zawisło. Idąc konsekwentnie dalej twierdził, że ludzie wywierają stanowczy wpływ na losy świata, że oni stwarzają wypadki, słowem, że człowiek jest czynnikiem samodzielnym, którym żadna tajemnicza siła nie kieruje. Jakże atoli gwałtownie a niespodziewanie zatrzęsła się teraz jego budowa filozoficzna! O pannie Wandzi myślał już jak o swojej żonie, która prędzej czy później miała mu się dostać, niby owoc z drzewa dojrzały; z chytrością lisa a wytrwałością wyżła obmyślił i przygotowywał plan działania — tymczasem gdy już niemal był pewnym zwycięstwa, zjawia się niespodziewanie pan Rossowski i jednem uderzeniem, a właściwie prostem pochwyceniem go za kołnierz, zburzył całą jego budowę.

Zły był dr. Czudek, zły jak nigdy jeszcze! Idąc, co kilka kroków stawał, głośno z sobą rozmawiał, przeklinał, sobie samemu złorzeczył, potem oglądał się z przestrachem, czy go kto nie ściga. Na ulicy było jednak cicho; tylko wiatr mroźny świstał po zaułkach, gasząc wiecznie zakopcone lampy jednę po drugiej. Nienawiść jego do Juljana była teraz bez granic — tem większa, że nie wiedział, jak się na nim zemścić. Dr. Czudek, jako surowy obrońca prawa, był przeciwnym pojedynkom, które uważał za zwyczaj czysto barbarzyński i niejednokrotnie dawał się z tem słyszeć, że tego, ktoby go wyzwał na pojedynek, bez wahania „wpakował by do kryminału“. Na tej przeto drodze od Rossowskiego nie mógł domagać się zadośćuczynienia. A więc co począć? Co począć?

Stanął i znowu myślał.

— A kto wie, czy on sam nie zechce mnie wyzwać? Dałby Bóg! niezwłocznie doniósł bym o tem prokuratorowi. Posiedziałby sobie kilka miesięcy.. Ale nie, on mnie nie wyzwie, przecie nie ja jego, lecz ponoś on mnie obraził... Co więc począć? Co począć?

I szedł dalej i znowu myślał i znowu przeklinał, dopóki nie ujrzał przed sobą broni, którą ludzie jego charakteru uważają za jedyną i nader skuteczną, a tą jest intryga. Silni na duchu i ciele walczą z przyłbicą odsłoniętą, słabi a mściwi godzą na przeciwnika z nienacka. Czudek nie umiał potykać się w blasku słońca i pod okiem tysiąca widzów; on walcząc potrzebował ciemności i jak najmniej świadków.

Plan układał szybko, z każdej strony przypatrywał mu się uważnie, zmieniał. poprawiał, dodawał, a gdy znalazł się na chodniku przed pałacem Namiestnika, wiedział już dobrze czego chce i jak do celu ma dążyć. Zatrzymał dorożkę przejeżdżającą, wsiadł i co koń wyskoczy kazał się wieść do willi pana Czarkowskiego. On wiedział, że Juljan zabawi jakiś czas u państwa Wybickich i w domu nie tak prędko się pojawi; teraz potrzebował się tylko upewnić, czy zanim poszedł do Storcha, a z nim do państwa Wybickich, przedtem nie widział się z wujem. W tem dopomógł mu Wojciech poczciwy. Zastawszy go w sieniach, usłyszał od niego mimochodem, starzec bowiem nie pozwalał mu się nigdy wybadywać, że panicz jeszcze nie wrócił i ani wiadomo kiedy powróci. Adwokat ręce zatarł; była to woda na jego młyn.

Pan Czarkowski leżał w swojej sypialni ponurej i wysokiej, obwieszonej od góry do dołu obrazami i zasypanej książkami. Między stolikiem, na którym stała lampa z banią zieloną i kilka flaszeczek z lekarstwami, a parawanem

zasłaniającym łóżko od strony drzwi wchodowych, siedział dr. Ragner. Chory od czasu jakeśmy go ostatni raz widzieli, postarzał się znowu o jaki lat dziesiątek; wysechł jak skorupa i miał cerę do ziemi podobną i prawie spleśniałą. Straszliwe cierpienia reumatyczne, na które od dłuższego czasu rok rocznie zapadał, nie były jeszcze nigdy tak gwałtowne jak teraz; to też dr. Ragner rozmawiając o nim z Czudkiem, nie taił swoich obaw. Gdy adwokat we drzwiach się pokazał, lekarz pospieszył go powitać, przy czem szybko mu powiedział:

— *Sehr schlecht mit dem Alten!*

Czudek nic na to nie odpowiedziawszy, zbliżył się do łóżka. Dr. Ragner korzystając z obecności przyjaciela, wyszedł cichaczem do innych pacjentów. W pokoju zostali więc tylko chory i adwokat.

— Chwała Bogu żeś pan przyszedł — pan Czarkowski cicho przemówił. — Wojciech ciągle na posługach, po sto razy na dzień biega do apteki, a z tym doktorem nie wiadomo o czem mówić. Niech go nie znam! Leżę jak Łazarz!

— Taki to już bieg rzeczy na tym świecie — odrzekł adwokat z westchnieniem. — Swoi nas opuszczają, a cudzy — dodał skromnie w dół oczy spuszczając — niosą nam ulgę w chwilach najcięższych.

— Swoi! — chory powtórzył — czyż ja mam kogo z moich!... Jeden Juljan poczciwy, ale ten nie winien, bo go interesa we Wiedniu zatrzymują. Ręczę, że gdyby mógł, pewnie był by przy mnie.

Adwokat zamiast odpowiedzieć, znowu westchnął i tajemniczo głową zaczął potrząsać. Chory dostrzegł to i nie mało się zdziwił.

— A tobie co, mecenasie? — zapytał. — Robisz miny, jakbyś mi chciał coś ważnego a nieprzyjemnego zwiastować.

— Niestety! — odrzekł Czudek i znowu umilkł.

— Więc mów, jeżeli łaska. — Z temi słowy obrócił się do adwokata, z trudnością wspierając się na wyschniętem ramieniu.

— Boję się pana dobrodzieja nadto wzruszyć.

Pan Czarkowski był już teraz doprawdy zaalarmowany.

— Ależ mów! — zawołał głosem podrażnionym. — Przecie wiesz, że domysły są zawsze gorsze, niż pewność.

— Oj! nie, panie dobrodzieju! Jakem poczciw, ta pewność jest gorszą, niż domysły najgorsze.

Chory oddech wstrzymał i wpatrzył się w adwokata, który mówił dalej spokojnie, powoli, mając oczy ciągle ku ziemi spuszczone.

— Najstraszliwsza to rzecz, jeżeli się zawiedziemy na tych, którzy nam są najbliżsi lub o których przypuszczamy, że nam powinni być wdzięczni za otrzymane dobrodziejstwa. Jakem poczciw taki zawód jest okropny! Nie od dziś już uważałem, że Juljan nie jest dla pana dobrodzieja z tą miłością, jaką by być powinien, ale jam go usprawiedliwiał... myślałem, ot! zwyczajnie młody, jeszcze nie wyszumiał... dopiero gdy przyjdzie do opamiętania, zrozumie jakiego miał w swoim wuju dobrodzieja.

Czudek urwał rozmyślnie i ciekawe spojrzenie rzucił z pode łba na chorego, chcąc dojrzeć jakie wrażenie zrobiły na nim te słowa. Pan Czarkowski leżał w dawnej postawie, tylko twarz jego wydawała się bledszą i usta miał bardziej sine. Mimo dłuższej przerwy słowa nie przemówił. Adwokat nie doczekawszy się żadnego zapytania, tak mówił dalej:

— Przebaczyłbym jeszcze Juljanowi, że nie dogląda swoich interesów i żyje nad stan, licząc na sukcesję po wuju, chociaż i to nie ładnie, że pragnie śmierci pana dobrodzieja, ale czy godzi się podpisywać pana na wekslach?...

— Jakto... miałżeby mnie Juljan podpisywać? — chory zapytał.

— Niestety! tak jest! — odpowiedział Czudek i znowu umilkł, czekając na wrażenie.

— Mniejsza o to! — szepnął pan Czarkowski jak by do siebie. — Nie długo mnie już na świecie, a pieniędzy nie wezmę z sobą do grobu.

Adwokat zrobił wielkie oczy: takiej odpowiedzi od znanego skąpca nigdy się nie spodziewał.

— Czy koniec? — chory zapytał.

— Gdyby to koniec! — odparł Czudek, odzyskując myśli równowagę, którą chwilowo utracił. — Juljan wiedzie życie nad wszelki wyraz rozwiązłe, utrzymuje tu w mieście pewną osobę bardzo złego prowadzenia i bardzo niebezpieczną, w której tak jest zaślepiony, że naprzykład dziś przyjechawszy z Wiednia nad wieczorem...

— Co pan mówisz, Juljan przyjechał? — przerwał chory i drgnął konwulsyjnie.

— Jakem poczciw przyjechał, ale zamiast pospieszyć do chorego wuja, poszedł do swojej najdroższej na bachanalje.

Pan Czarkowski zasłonił sobie twarz rękami. Potem ręce odjął i patrzył w sufit okiem ponurem. Adwokat osądził, że należy kuć żelazo póki gorące.

— Kto by to był przypuścił — znowu przemówił — że on się tak zmieni... Ale pan dobrodziej sam tu zawinił, jakem poczciw sam! Pan go popsuł zbytnią serca dobrocią... Wszystko miał, o nic się nie troszczył, więc teraz pragnie coraz więcej. Dalbym szyję, że nosi się nawet z myślami, by na przekór naturalnemu biegowi rzeczy, przyjść prędzej w posiadanie majątku pana dobrodzieja. On i jego luba do wszystkiego są zdolni.

Chory wysłuchał tych słów z odmiennem

uczuciem. To oko przed chwilą jeszcze tak ponure, zaczęło się rozjaśniać, na ustach pojawił się niby uśmiech ironiczny, twarz cała się zarumieniła, a ręce drgały kurczowo. Gdy adwokat mówić przestał, szybko, jak by nigdy nie był cierpiącym, usiadł na łóżku, a wyciągając rękę do niego, zawołał:

— Kłamiesz!

Adwokat w tył odskoczył najwyższą trwogą przejęty, tak głos chorego był piorunujący; pan Czarkowski z głuchym jękiem upadł na posłanie. Czudek zaczął coś bełkotać: „jakem poczciw, słowo honoru“, lecz na szczęście chorego wszedł Wojciech. Ten widząc, że się jego panu pogorszyło, a domyślając się, że adwokat był tego przyczyną, zbliżył się doń i szepnął zgrzytając zębami, które miał zdrowe i silne:

— Niech się pan wyniesie, bo będzie nieszczęście!

Czudek nie dał sobie tego drugi raz powtórzyć. Wyniósł się też cichaczem, a znalazłszy się w swojej sypialni, dla uspokojenia nerwów, wstrzyknął sobie podwójną dozę morfiny. Dzień to był dla niego feralny! (C. d. n.)

ŻÓŁTA RÓŻA.

NOWELLA Z FRANCUZKIEGO PRZEZ HALINĘ.

(C. d.) Teissier podarł ten list na sto kawałeczków, rzucił następnie na ziemię, by je w wściekłym gniewie nogami podeptać. Wylał cały potok przekleństw na głowy małżonków, i zaprzysiągł zemstę straszną! Nagła jednak śmierć wuja Marjolier, któremu zaszkodziła widocznie bajeczka przez Françis'a wymyślona, przerwała skutecznie paroksyzm gniewu i zemsty porywy. Odjechał do Bretanji, by odebrać majątek ziemski, a gdy powrócił, tak go zajęły interesa spadku, z taką chciwością dochodził tegoż całości, tak zawzięcie procesował się z kilkoma osobami, które także do majątku pana Marjolier rościły pretensje, że przestał myśleć o gorzkim zawodzie ze strony Melanji, o zdradzie niegodnej tego, którego nazywał niegdyś przyjacielem, i o zemście nieubłaganej, którą obojgu zaprzysiągł.

Miodowe miesiące, nie są czczym wymysłem. Trzeba wielkiej różnicy wieku, lub skończonego brutalstwa ze strony męża, żeby nawet tych kilka pierwszych miesięcy po ślubie, nie spędzić we wzajemnej zgodzie i miłości. Cóż powiedzieć o szczęściu bez miary, którego używała nasza młoda para? Melanja upojona rozkoszą bez granic, o której nie miała wyobrażenia, i nawet o niej we śnie nie zamarzyła, nie kochała, ale ubóstwiała swego męża, jak ascetyk wielbi Stwórcę swego. Ona także uważała się za istotę, którą dopiero mąż stworzył, a przynajmniej żyć nauczył. Przestała czuć, myśleć samoistnie, tak cała utonęła w morzu miłości, którą mężowi niosła w darze. Françis, ze swojej strony, coraz więcej się przywiązywał, do tej cudnej, młodziutkiej istoty, której los i szczęście jedynie w jego rękach spoczywały. Tak związani węzłami uczuć najczystszych, zdawało się, że kwiat ich miłości będzie bujał swobodnie, mając jeszcze część wiosny i całe lato życia przed sobą, że żadna, choćby najlżejsza chmurka, nie zaciemni ich tak promienistego widnokręgu. Zjawiła się jednak, może to atoli było z korzyścią dla ich przyszłego spokoju, że przyszła tak prędko. Burze na wiosnę, trwają krótko, a zwykle po nich cała natura się odżywia, łąk zieleń staje się jaśniejszą, kwiaty wonniejszemi.

Françis'a, kiedy najmniej o tem myślał, uniósł ku małżeństwu prąd tak gwałtowny, jak gdy łódkę żeglarza nieopatrznego, wciąga w otchłań bezdenną wir szalony. On także wskoczył bez namysłu w przepaść, pochłaniającą jego wolność kawalerską, którą zdawał się cenić tak wysoko, szczęśliwszy jednak od żeglarza, wypłynął z niej cały i zdrów, tylko... ożeniony z Melanją.

Ochłonąwszy cokolwiek z pierwszych uniesień miłości, przyszedł do pewnej równowagi i krwi zimniejszej, a głębiej się zastanawiając nad tem co zrobił, nasuwały mu się wątpliwości rozmaite, które powoli, powoli, jak robak toczy piękną różę listek po listku, niszczyły jedną po drugiej błogie iluzje, co do trwałości spokoju i szczęścia domowego. Przypominał sobie z trwogą gwałtowność Melanji, której miał dwie tak świetne próby, na balu Opery, i w scenie z Teissierem; przywodził na pamięć różne inne wady tej jedynaczki rozpieszczonej i truchlał o swoją przyszłość, znając siebie, że jest także bardzo żywym i nawet porywczym. Wprawdzie od dnia ślubu, Melanja była słodka jak gołąbek, łagodna i cicha jak baranek; w oczy tylko mężowi patrzyła, aby w nich myśli jego wyczytać, i do nich się w zupełności zastosować. Fadowicz próżny i w swojem Ja! zakochany, byłby od razu uwierzył, że to jego wpływ wszechwładny, wywołał tę zmianę szczęśliwą.

Françis, jak już wspominaliśmy, miał atoli za wiele rozumu, by być tak nadętym i zarozumiałym. Z początku, zdziwiony i uradowany tą ciszą niezwykłą, zaczął się jej lękać następnie, jak gdyby miała być zwiastunką tem srozszych burz, i szukał przyczyn rozmaitych, tylko nie wpadł na tę najnaturalniejszą, że miłość cudów dokazuje, że jest mistrzem najdoskonalszym, który uczy i naprawia, łagodzi i uspokaja nawet jedynaczki, którym dotąd nikt się nie umiał sprzeciwić.

— Lwica spi... któż mi jednak zaręczy, że się nie zbudzi? — myślał topiąc wzrok w tych cudnych źrenicach, które teraz pływały wiecznie w jakimś eterze nadziemskiej błogości i patrzyły na niego z takim zachwytem, jakby on był jedyną ich wyrocznią. Owe błyski piorunowe, czasem nawet policzek zapowiadające, któremi tak często oczy Melanji Teissier'a obdarzały, znikły bez śladu.

Ta dziecinna bojaźń, żeby lwicy nie obudzić, podyktowała Françis'owi cały plan postępowania. Swój własny charakter poddał surowej krytyce. Człowiek dający się łatwo unosić porywom szlachetnym, czasem nawet trochę nierozważnym, zrobił się poważnym jak p. Regnauld, a namyślającym się prawie jak Teissier. Żywy, ognisty, niemal

gwałtowny, zaczął obliczać każde słowo, zimną rozwagą gasił ile możności płomienie uczuć swoich, by broń Boże! nie wyrzuciły iskry niebacznie, i nie były przyczyną wysadzenia w powietrze prochowni, którą czuł w pobliżu.

Dzień i noc czuwał nad spokojem małżeńskim, z uwagą drobiazgową usuwał wszelki żywioł niezgody, bał się najmniejszej sprzeczki, najlżejszego nieporozumienia. Dzięki tej polityce pokojowej, Melanja szła dalej drogą pożycia małżeńskiego wytyczoną wprawdzie równo, bez cierni i kamieni, o które mogła by się zranić, wkrótce jednak zaczęła uważać ze smutkiem, że i kwiatów miłości coraz mniej napotyka. Françis przeholował. Ostrożność bezustanna, którą sobie nakazał, zrobiła go sztywnym, bojąc się okazać za nadto młodym, okrył się togą zimnej powagi, która cechowała odtąd każdy ruch, jego każde zdanie. Melanja tak młoda i naiwna, musiała w końcu powiedzieć sobie, że więcej w nim rozumu, niżeli czułości. Kobiety w ogóle, nie lubią być kochane rozsądnie; tem mniej mogła się taką miłością zadowolnić Melanja, której ognista wyobraźnia, szukała zawsze chmur najbliższych nieba, by na nich budować zamki kryształowe, pełne cudów i złudzeń czarownych. Skoro przestała odczuwać w mężu pewną eksaltacją, która podług jej mniemania musiała iść w parze z miłością prawdziwą, zrobiło jej się ciężko na sercu, duszno, jak ptaszynie, której braknie przestrzeni do lotu. Znajdowała, że mąż jest o wiele za poważny, o wiele za zimny, na wiek tak młody! Sądziła z pozorów — kobiety zawsze raczej przeczuciom wierzą, niżeli by miały oddawać się ścisłym badaniom — sądziła więc, że to miłość gasnąca, wyradza w mężu jej tyle zimnej krwi, i taki spokój stoika. Dawniej, myśl że jest mniej kochaną, byłaby spowodowała jeden z tych paroksyzmów wspaniałych, których tak się mąż obawiał; dziś, czuła tylko ucisk śmiertelny, zniechęcenie i brak sił moralnie, a nawet fizycznie. Przedtem główka jej się zapalała, teraz cała jej energja w sercu się skupiła, sercem żyła, sercem cierpiała, a ból serca potrafi wycisnąć łzy krwawe kobiecie, ale nie potrafi wzbudzić gniewu przeciw osobie ukochanej. Kobieta zawzięta, nie umiejąca przebaczać, nie kocha nikogo, prócz siebie.

Pod jesień, gdy już na dobre osiedlili się w Paryżu, młodzi małżonkowie siedzieli razem w loży w teatrze Opery. Melanja była wytwornie ubraną, jednak uwadze oka wprawnego nie było by uszło, że brakło w jej toalecie tego wykończenia, pełnego kokieterji, które umie nadać jedynie ręka kobiety z gustem, a przytem szczęśliwej i chcącej się podobać. Widocznem było, że ją ubrano, ona zaś myślała w tej chwili zupełnie o czem innem, niżeli o tem, jak ją ubiorą. Symptomat nader rzadki u kobiety młodej i pięknej. Oparta niedbale w głębi fotelu, była pogrążona w zadumie głębokiej, wzrok machinalnie w jeden punkt utkwiła, zdawała się nie widzieć, ani słyszeć co się w koło niej dzieje. Françis był nie mniej zamyślonym. Od dni kilku uważał on smutek cichy żony, a dotąd nie odgadł tegoż przyczyny. W tem usposobieniu wcale nie wesołem, przetrwali do końca przedstawienia, od czasu, do czasu, bąknęli słów kilka jedno do drugiego, i znowu zapadali w milczenie grobowe, które zwykło zapowiadać, bądź wielkie oziębienie, bądź zupełne nieporozumienie w małżeństwie.

Pomiędzy spektatorami, których więcej pociągała piękność niezwyczajna pani Dramond, niżeli sztuka, i którzy więcej na nią, niżeli na scenę patrzyli, odznaczał się, szczególną uwagą, tak że prawie od tej loży oczów nie odrywał, młody człowiek, ubrany czarno z pewną ostentacją, zwykłą u ludzi, którzy, w braku żałoby w sercu, chcą przynajmniej, żeby suknie o niej świadczyły. Zajmował on jedno z krzeseł balkonu na pierwszem piątrze. Czyż potrzebujemy dodawać, że był nim Hektor Teissier, który ukończył szczęśliwie wszelkie procesa, tak Jezuitę, jak i starą gosposię, z niczem odesłał, a teraz, mimo skąpstwa wrodzonego, chciał też użyć trochę świata i od czasu, do czasu w teatrze się pojawiał. Gdy po raz pierwszy spostrzegł małżonków, chęć zemsty, przyciszona cokolwiek spadkiem po panu Marjolier, zawrzała w jego sercu z dawną zaciekłością. Śledził bacznym okiem każdy ich ruch, każde ust zagięcie, a zaduma pełna melancholji Melanji, zamyślenie ponure Françis'a, sprawiły mu radość niezmierną, i wykrzywiły mu usta śmiechem szatana, gdy widzi jedną więcej duszę na wieki potępioną.

— Nie wyglądają wcale na szczęśliwych — mruknął przez zęby, z miną J a g a podstępnego, gdy widzi dojrzewający w sercu O t e l l a jad zazdrości, który lał w to serce kropla po kropli.

Teissier nie spał noc całą, układając plany rozmaite zemsty straszliwej, plany tak niezgodne z jego naturą spokojną i trwożliwą. Podrażniona miłość własna, zmienia częstokroć łagodnego baranka, w tygrysa krwiożerczego.

Nazajutrz, okryty płaszczem obłudy, którą zawsze można wziąć na lep ludzi jak Françis otwartych, z s e r c e m n a d ł o n i, jak mówi przysłowie, z kłamanym uśmiechem na ustach, zadzwonił u drzwi dawnego przyjaciela.

— Więc już się na mnie nie gniewasz? — zapytał młody małżonek, z wyrazem trochę drwiącym, w oczy mu patrząc.

— A choćbyśmy się strzelali, cóżby mi z tego przyszło? — wycedził Teissier niedbale, wzruszając ramionami. — Wypłatałeś mi figla niegodziwego, gdy jednak nie wiedziałem jakby cię za niego ukarać, więc ci go przebaczyłem.

Melanja weszła w tej chwili do męża pokoju; zobaczywszy eks-narzeczonego, nie okazała najmniejszego zakłopotania. Teissier był jej tak obojętnym, iż mogła go przyjąć i przyjęła z tym samym, nic nieznaczącym, konwencjonalnym uśmiechem, bez wzruszenia i zarumienienia, który jest zdawkową monetą grzeczności salonowej, i którym kobiety światowe, obdarzają pierwszego lepszego znajomego. To przyjęcie spokojne i dobroduszne, podsyciło jeszcze płomienie nienawiści do nich obojga w sercu Teissiera — i teraz jednak, pokrył gniew swój maską obojętności, jakby sobie nigdy nie rościł praw żadnych do tej kobiety, która o nim tak radykalnie zapomniała. Między obojętnością z jednej, a zupełną rezygnacją z drugiej strony, zgoda łatwą się staje; to też Teissier po tej pierwszej wizycie, zainstalował się na dobre w domu

państwa Dramond! Françis w swojej poczciwości, był nawet uprzedzającym dla niego, by niejako naprawić i wynagrodzić Hektorowi krzywdę, którą mu wyrządził. W krótce został przyjacielem domu w całej rozciągłości tego słowa, i podstępności, która zwykle idzie w parze z tym tytułem. Aby uspić i uprzedzić wszelkie podejrzenia ze strony Françis'a, mówił mu często o projekcie małżeństwa, którym zdawał się bardzo zajęty. Była to jednak ostrożność zbyteczna co do Françis'a, gdyż nie był on wcale podejrzliwym, a która nie była by wystarczyła zazdrośnikowi, boć panowie dobrze o tem wiedzą, że i mężowie pożerają jeden drugiego, bałamucąc sobie wspólnie żony, w czem są gorsi od wilków, które, jak przysłowie powiada, nie jedzą się między sobą.

W oczekiwaniu na smaczny kąsek, który w jego bujnej wyobraźni, miał mu na pewno wpaść w paszczę nań czyhającą, wypełniał gorliwie wszelkie usługi, związane z rolą wiernego cycerbea pani Melanji. Starał się o najlepsze loże, zamawiał krzesła na koncerta, przepisywał nuty, wyszukiwał wzorków najpiękniejszych do haftu, i włóczek do nich dobierał, latał za sprawunkami najrozmaitszemi po magazynach, jednem słowem: trudnił się tem wszystkiem, o czem zwykle mężowie wcale już nie myślą, i wiedzieć nie chcą, szczęśliwi kochankowie, których zabiegi zostały pomyślnym skutkiem uwieńczone, wypełniają z musu, jako nieznośną pańszczyznę, a jedynie aspiranci do tego tytułu, którzy jeszcze najmniejszego zadatku nie otrzymali od owej sumy łask i rozkoszy, oczekiwanych w przyszłości, rwą się z całą gorliwością do zajęć tego rodzaju, uważając każdy podobny dowód zaufania za jeden szczebel więcej, po których to stopniach wdrapią się aż na sam szczyt szczęśliwości nadziemskich.

Melanja przyjmowała zrazu z wielkim niesmakiem i znudzeniem, którego wcale ukryć nie umiała, narzucanie się i nadskakiwanie Teissier'a, za które on dotąd, nie zdawał się ani żądać, ani spodziewać najmniejszej nagrody, jakby jedynie z poświęcenia, pełnił funkcję wiernego przyjaciela. W krótce jednak myśl niedobra, tak często gubiąca młode kobiety, a której nie umieją się oprzeć nawet najszlachetniejsze pomiędzy niemi, myśl, by podsycić na nowo miłość męża, budząc w nim zazdrość, błysła w jej główce. Nie mając nikogo pod ręką, prócz Teissier'a, postanowiła na nim odbyć tę próbę, często niebezpieczną, a zawsze niezgodną — niech nam będzie wolno powiedzieć nawiasem — z uczciwością prawdziwie zacnej kobiety. Może kto zarzuci, że to sąd zbyt surowy, my śmiemy twierdzić, że jest tylko sprawiedliwym. Igrać z ogniem nader niebezpiecznie, a żartować z uczucia, jakiemkolwiek ono być może, jest nieszlachetnie, a nawet nieuczciwie. Melanja była jeszcze tak młodą i niedoświadczoną, że to jedno mogło jej służyć za wymówkę.

Zaczęła więc kokietować Teissier'a, i zrobiła się dla niego o tyle czułą, o ile niegdyś jako jego narzeczona, była zimną i odpychającą. Teissier uszczęśliwiony tą zmianą, chodził jak paw nadęty, oczekując niecierpliwie chwili zwycięztwa, o którym ani chwili nie zwątpił w swej olbrzymiej zarozumiałości.

— Poczekaj — mruczał, wróciwszy raz wieczór do domu — poczekaj! Tyś mi z przed nosa sprzątnął narzeczonę, ja ci żonę zbałamucę. Skwitujemy się przyjacielu! Który z nas atoli, będzie lepiej złapanym?

Françis był na tyle rozumnym, że nawet nie zachorował dotąd na zwykłą u mężów ślepotę, nazywaną pospolicie kataraktą matrimonialis; spostrzegł więc w krótce niecne zamiary swego eks-przyjaciela, i w pierwszej chwili gwałtownego wzburzenia, powziął myśl wyrzucenia go po prostu, za drzwi... przez okno. Ponieważ atoli przyzwyczaił się zwyciężać w sobie, wszelkie żywsze porywy, i w tym razie prędko się uspokoił, ułożywszy sobie plan działania, wręcz przeciwny doraźnej sprawiedliwości, którą na osobie Teissier'a wykonać zamierzał

— Melanja ma zaledwie lat dziewiętnaście, nie ma matki, która by ją strzegła — mówił sobie w duchu. — Wprawdzie piękna i czysta jak anioł, ależ i aniołów strąciła niegdyś pycha na samo dno piekieł, więc i ona mogła by upaść. Mam zatem w perspektywie, co najmniej lat dwadzieścia niebezpieczeństwa, lat dwadzieścia walki nieustannej, w której niestety poległo tylu mężów, godnych tak samo jak i ja, lepszego losu. Nie żyjemy przecież w Turcji, nie mogę osłonić cudnej twarzyczki Melanji gęstym welonem, ani zamknąć ją pod rygle haremu, które także nie zawsze pomagają, i często otwierają się dla niepowołanych. Jesteśmy w Paryżu, bywamy w świecie, czyż mogę przeszkodzić, by trutnie salonowi, których wszędzie pełno, nie palili jej kadzideł, nie starali się jej podobać, nie chcieli ją bałamucić. Byłby to zresztą chleb oddany. Nie jednemu ja mężowi takiego figla spłatałem. Walka więc jest nieuchronną. Wszystko jedno, ten czy inny. Zacznijmy próbę od dzisiaj. Wszak próbujemy ostrze stali, gdy nam ma służyć do obrony życia, aby w danym razie, w rękach nam nie pękła. Spróbuję tak samo w ogniu pokusy cnotę mojej żony. Nie jestem zarozumiałym, wiem jednak, żem więcej wart niż Teissier, czyż zwykle tak nie bywa, że kochankowie niżej stoją od mężów? Mają za to urok owocu zakazanego. Wprawdzie ona mnie przeniosła nad niego, kto wie jednak czy dziś zdania nie zmieniła. Dawna ich zażyłość, dawna poufałość, ułatwiłaby porozumienie między nimi. Wiem o niebezpieczeństwie, będę ich miał na oku, i do ostateczności nie dopuszczę. Niech więc Teissier adoruje moją żonę, zobaczymy co z tego wyniknie? Jeżeli Melanja wyjdzie z tej próby zwycięzko, zyskam dwadzieścia lat niczem niezamąconego spokoju, ufności bezwzględnej w cnotę mojej żony. Gdyby miała się zachwiać, mam oczy otwarte i potrafię złemu w sam czas zapobiedz.

Powziąwszy tę decyzją, której musimy przyznać wiele słuszności, Françis przyjmował dalej Hektora z całą dobroduszną serdecznością. Teraz między dwoma przyjaciołmi na oko, a na prawdę wrogami, i młodą kobietą, odgrywał się jeden z tych dramatów niewidzialnych, nurtujących w łonie rodziny, a kończących się nieraz bardziej tragicznie, niż by mogła wymyśleć najbujniejsza wyobraźnia poety. Im więcej Françis udawał spokojnego, tem silniej Melanja kokietowała Teissier'a. Oboje oszukując jedno drugiego, najokropniej mydlili oczy Teissier'owi. On tylko, mimo swoich, arcy-dyplomatycznych zabiegów, nikogo

niemi nie zwiódł. Melanja pierwsza dała za wygranę. Udawanie tak niezgodne z jej naturą szczerą jak złoto, znużyło ją niesłychanie. Ufność bezwzględną, okazywaną przez męża, poczytała za srogą obrazę, widziała w niej dowód oczywisty obojętności, która ją boleśnie i do głębi duszy zraniła. Zrozpaczona, że nie może męża przyprowadzić, do jednego z tych szalonych wybuchów zazdrości, których skutki jakkolwiek dotkliwe, kobiety namiętne zwykłe przyjmować z wszelką wybaczliwością, jako dowody miłości ognistej; zaniechała sztucznej kokieterji, którą wreszcie sama uznała niżej swojej godności, i zapadła w smutek ponury, pełen zwątpienia, przejmujący zwykle serca żywo czujące, gdy im się zdaje, że gaśnie dla nich ostatni promyk nadzieji.

Françis struchlał, na widok groźnego symptomatu, w żony usposobieniu. Przypisał go budzącym się wyrzutom sumienia, które musi się odezwać w każdej istocie. dotąd uczciwej, gdy się czuje bliską upadku, gdy zgubna namiętność głuszy w niej poczucie obowiązków, poczucie własnej godności. Teissier nie omieszkał tak samo sobie wytłumaczyć tej cichej boleści, która powoli pokrywała bladością, niegdyś tak świeże jak pączek różanny, jagody; i ćmiła łzami w skrytości wylewanemi, blask oka djamentowy. Aby zyskać na czasie i dójść prędzej do celu zamierzonego, Teissier chwycił się zupełnie innej taktyki. Ile razy zobaczył Melanję w boleśniejszej niż zwyczajnie zadumie, powtarzał jej z małemi odmianami; mniej więcej ten frazes sakramentalny:

— Jeżeli by mnię mogło co pocieszyć po stracie pani, to jedynie widok szczęścia, którego obecnie doznajesz.

Słowa, po sto razy powtarzane, muszą wreszcie rozstroić nerwy, tak samo jak nam kaleczy uszy, najpiękniejsza melodja z opery ulubionej, jeżeli ją co dzień profanuje, niegodziwa katarynka. — Jakąż torturą moralną, będą atoli dla nas te same słowa, jeżeli pod obłudną pokrywką przyjaźni, zawierają w sobie jad gorzkiej i niemiłosiernej ironji. Brakło wreszcie cierpliwości, młodej kobiecie, która niestety, tak zupełnie w swoje szczęście zwątpiła. Gdy, jak zwykle wieczór, siedziała sam na sam z Teissierem, a on znowu wystąpił z tą kłamliwą sentencją, wybuchła z całą dawną gwałtownością:

— Czyż pan mnię już nigdy nie przestaniesz prześladować moim szczęściem? Czyż nie potrafisz mówić o czem innem?

Hektor uczuł w sercu radość nieograniczoną strzelca, który siedząc godzinami na zasiadce, widzi wreszcie, jak mu upragniona zwierzyna, na strzał wychodzi.

— Czyż bym się omylił? wyrzekł patetycznie. — Czyż nie jesteś pani najszczęśliwszą z kobiet?

Z odjazdem pani Regnauld, która miała przepędzić zimę wraz z mężem we Włoszech, Melanja straciła jedyną powiernicę, w której serce mogłaby była wlewać po trochę łzy tłumione i udzielać jej smutnych myśli, które jej główkę rozpierały. Rada kobiety, z większem doświadczeniem, byłaby w tym przypadku nader zbawienną. Zostawiona sama sobie, młoda kobieta, czuła taką potrzebę zwierzenia się komukolwiek, iż chociaż uznawała o ile to jest niestosowne w obec Teissiera, nie mogła już dłużej zapanować nad sercem od bolu pękającem, i odpowiedziała na zapytanie Hektora, głuchem łkaniem.

— Na miły Bóg! co pani jest? Co znaczą te łzy? — zawołał niegodziwiec udając przerażenie, gdy młoda kobieta chustką oczy zakryła.

— Nie kocha mnię! — jęknęła z bolu, głowę kryjąc w poduszki kanapy. (D. n.)

Nawrócony.

(C. d.) W przeciągu trzech następnych tygodni, Rudolf nieprzestąpił mojego progu. I nasi wspólni przyjaciele słyszeli o nim bardzo mało, lub wcale nic. Dopiero na początku czwartego tygodnia zjawił się rano w moim gabinecie, rzucił się jak zwykle po burszowsku na sofę i nie rzekłszy ani słowa zapalił cygaro.

— Cóż tam? — spytałem zdziwiony. — Stajesz się djabelnie rzadkim! twoja literacko-rodzinna gazeta, zdaje się pochłaniać cię szczególniejszym sposobem.

— Dosyć dobrze idzie! — powiedział z zadowoleniem puszczając obłok dymu do sufitu. — Tak trzy, cztery godziny mam z nią dziennie do czynienia. Ale cóżem to ci chciał powiedzieć, możesz mi powinszować! Wczoraj mówiłem z nią po raz pierwszy.

— Z kim?

— Zdajesz się mieć szczególniej krótką pamięć.

— O! nie zapomniałem wcale o dziwacznem urojeniu twojego chorego mózgu. Dziwię się tylko, że po trzech tygodniach nie posunąłeś się dalej. Do zaręczyn zapewne jeszcze dużo wody upłynie.

— Cóż znowu, o kimże ty mówisz?

— No, o pannie Julji.

— Masz chyba źle w głowie. Z tą czerwoną czarownicą od dawna już skończyłem. Od ośmiu dni jest moją narzeczoną. Ja mówię o Edycie. Wczoraj oddaliśmy tej słodkiej istocie urzędowo-zaręczynową wizytę. Przyjęła mię z taką otwartością i tak uprzedzająco, a nawet ta mała kanalia, ten baron był tak uprzejmym, że mam wszelki powód być zupełnie zadowolonym z mojego powodzenia. Nikt nie podejrzywa prawdziwego stanu rzeczy, i to tem mniej, że ja względem mojej czerwono-włosej narzeczonej, jestem nadzwyczaj czułym.

— A więc jesteś zaręczonym! Zamieniłeś w czyn twoją myśl szaloną! A ja miałem ciągle jeszcze nadzieję...

— Tak, tak, ja wiem. Wy zwyczajni, powszedni ludzie, nie możecie pojąć, że energiczny charakter dąży do swego celu, nie myśląc o następstwach. Dzięki Bogu, że ja nie jestem do was podobny, wy nędzni, skruszeni grzesznicy!

— Tytuł narzeczonego, aż dotąd nie uszlachetnił zdaje się twego towarzyskiego obejścia! — powiedziałem uśmiechając się. — Ale jakżeż to wszystko tak prędko się odbyło? Nie pojmuję....

— Ty naturalnie byłbyś wzdychał pół roku, jak kot do gorącej papki. Ja z fundamentalniejszej gliny jestem ulepiony.

— A więc opowiadaj.

— Cóż tam jest wiele do opowiadania! Odegrałem rolę zakochanego i godnego miłości rycerza, plotłem o powinowactwie dusz, o wysokiem powołaniu kobiet. Doboduszna dziewczyna brała za dobrą monetę te niedorzeczne banialuki i tak długo im się przysłuchiwała, aż jej serce równie się ogniście zapaliło, jak jej włosy. Wtedy zapytałem: Najdroższa, czy chcesz zostać moją? A czuła dziewczyna nie drożąc się długo, odpowiedziała: tak. Otóż jest to najpospolitsza i najbardziej logiczna opowieść moich oświadczyn.

— Na Boga Rudolfie, za daleko posuwasz swoją bezsumienność.

— Jakto? przeciwnie. — Zrobi ona w ten sposób dobrą partję. Gdyby nie mój genialny pomysł, byłaby nieochybnie osiadła na koszu.

— Nie wiem w istocie, czy nie byłoby to dla niej lepiej. Przy twoim boku, w każdym razie, przyszłość jej się nie uśmiecha!

— Co masz mi do zarzucenia? Będę się z nią dobrze obchodził ma się rozumieć. Zresztą, między nami mówiąc, patrząc na nią z pewnej perspektywy, nie jest tak bardzo nieprzyjemną. O zmroku, gdy nie widać jej brzydkiego nosa, rozmowa we dwoje może z nią mieć nawet pewien urok. Ma głos miękki i melodyjny, i wcale nie źle w głowie. Jak widzisz, staram się jej ukryte przymioty odkrywać. Czyż nie jestem wzorem narzeczonego?

— Zapewne! biedna dziewczyna! Woła to o pomstę do nieba! być ofiarą kaprysu! Obyś tylko nie pożałował kiedy swego szaleństwa!

— Nie żałuję nigdy niczego! Ale à propos nim zapomnę, za cztery tygodnie ślub. Czy będziesz moim świadkiem? Co?

Ociągałem się z odpowiedzią.

— Czy znowu masz jakie skrupuły? Niepoprawny człowieku! Jak gdyby to, co się stać ma, nie stało się tak samo z tobą, jak i bez ciebie.

— Dobrze zatem, będę. Dasz mi znać, kiedy.

Pomówiliśmy jeszcze trochę o obojętnych rzeczach, poczem Rudolf pożegnał mnie.

W dwa tygodni później odebrałem ładnie wysztychowany bilet, zapraszający mnie na uroczystość ślubną na niedzielę 24. maja.

Teraz stałem już, żeby tak powiedzieć, devant un fait accompli! Rudolf żenił się, aby pod pokrywką tego małżeństwa zbliżyć się do siostry żony, także zamężnej! Niesłychana lekkomyślność tego postępku, zaciężyła naraz nademną, jak straszliwy wyrzut sumienia. Gorzkie sobie czyniłem wyrzuty, że związałem sobie ręce, dając bez zastanowienia słowo honoru. Czyż nie było to moim obowiązkiem, uwiadomić o wszystkiem barona i tę nieszczęśliwą dziewczynę? A teraz skazany byłem na rolę bezczynnego świadka, tak i milczeniem mojem stawałem się współwinowajcą! Przemyśliwałem jakby się wywikłać z tej kabały, ale wszelkie usiłowania pozostały bezowocne. Gdybym powiedział *a*, musiałbym także *b* powiedzieć. W dosyć zatem ponurem usposobieniu oczekiwałem oznaczonego dnia i stawiłem się punktualnie na mojem stanowisku.

Rudolf podczas całego obchodu, zachował się z godnością. Narzeczonę traktował po rycersku i z czułością, o którą nie byłbym go posądzał. Julia, ze swojej strony, wcale nie złe zrobiła wrażenie. Biała, muślinowa suknia z przeźroczystą zasłoną, doskonale przypadała do jej kształtnej postaci. Ładną w istocie nie była, nawet w tym poetycznym stroju, ale wyraz wewnętrznego szczęścia, który z jej rozumnych oczu błyszczał, nadawał jej rysom rodzaj pewnego wdzięku, który wzbudził we mnie sympatję.

Edyta miała na sobie błękitną, jedwabną suknię z długim ogonem i złotą przepaską. Wyglądała jak królowa. Widocznem też było, że pewną jest swej piękności. W każdym ruchu było coś majestatycznego, imponującego, podczas gdy niebieskie jej figlarne oko śledziło w około wrażenie, jakie jej trochę sztuczna wielkość sprawiała. Cała jej postać przypominała owe piękności mistrzów szkoły weneckiej, ideały Tycyana, których cudowny inkarnat nieraz nawet cuda natury przewyższał, podczas, gdy wdzięcznie odchylone usta pewną dumę znamionowały. Pojmowałem to łatwo, że dawna skłonność Rudolfa musiała zapłonąć na nowo przy pierwszem spotkaniu, ale jak można było głową tak mur przebijać, to stawało się dla mnie coraz większą zagadką.

Po uroczystym obiedzie, odprowadziłem młodą parę na dworzec kolei żelaznej. Jechali oni do saskiej Szwajcarji na wyłączne życzenie Julji, która chciała uniknąć hałasu wielkich miast.

— Za tydzień będziemy z powrotem! — zawołał do mnie Rudolf, siedząc już w wagonie.

— Tak prędko, przy tej pięknej, wiosennej pogodzie?

— Wiesz przecie, że od dwóch miesięcy, zaprzężony jestem w jarzmo! Redaktor nigdy nie jest panem swego czasu.

— Prawda! No, ale i przez tydzień przy dobrej woli, można dużo widzieć i użyć! Szczęśliwej podróży! szanowna pani, mam honor państwo pożegnać!

Podała rumieniąc się rękę i skinęła głową na pożegnanie. A pięć minut później pędzili śród zapadającego zmroku.

Dziewiątego dnia po tem wydarzeniu na pozór zwyczajnem a jednak niesłychanem spotkałem młodego małżonka na ulicy.

— Już z powrotem? — zapytałem i odkądże?

— Od wczoraj wieczór.

— No i cóż tam słychać? Jak się ma twoja żona?

— Dziękuję. W tej chwili siedzi zapewne nad moją nowellą. Ma szczególne upodobanie w tych śmieciach.

— A ty gdzie idziesz?

— Ja nigdzie. Włóczę się, nic ważnego na celu nie mając.

— To chodź ze mną. I ja w tym samym jestem wypadku. Uwiesił się na moim ramieniu.

— W istocie, nie zupełnie odpowiednio się wyraziłem — podjął znowu po chwili. — Nie koniecznie jestem w błogiem usposobieniu do włóczęgi, przeciwnie...

— Jakto? cóż ci jest?

— Tymczasowo zawiedzionym zostałem w mojej najpiękniejszej nadziei. Wystaw sobie, że w podróży ode-

braliśmy list od Edyty, donosiła nam, że jedna z jej najlepszych przyjaciółek zachorowała nagle, i że ona musi natychmiast jechać na kilka tygodni do Erfurtu. Jak zwykle baron zgodził się na ten szalony pomysł; i spożytkuje czas rozłączenia na kuracyą zimną wodą; jestem zatem pod każdym względem zawiedziony. Powiedz sam, czy nie może to do ostateczności doprowadzić?

— Jak według kogo — odparłem — a może właśnie przez ten czas przyjdziesz do upamiętania.

— Proszę Cię nie drażnij mnie! zawołał z komicznem uniesieniem. — Czyż dla tego zaprzągłem się w czerwoną niewolę, by daremnie ten krzyż dźwigać całe życie?

— No, no, nie gniewaj się! Ala à propos, jakże się znosicie nawzajem. Czy i w obec twojej połowicy jesteś takim niesmacznym mizantropem?

— Przeciwnie. Sam się sobie dziwię, jak dobrze potrafię być dla niej czułym!

— Tem lepiej.

— Ale żarty na stronę! Zapewniam Cię, że podczas całej naszej podróży, ani razu nie wróciłem do domu z zapruszoną głową! Rano piliśmy razem kawę, chociaż mi to ranne wstawanie djabelnie dokucza. Przy obiedzie zapuszczam się nawet w rozmowę o Cezarze Belbo lub o Bondelli, wieczór, czytam jej którego z angielskich liryków lub słucham jak swoją Dolca Napoli przy fortepianie nuci... à propos, śpiewa znakomicie, czy słyszałeś ją kiedy?

Zaprzeczyłem.

— A to warto, w istocie. Mógłbyś dziś wieczór przyjść do nas na herbatę...

— Z przyjemnością. Jestem tak zapracowany, że należy mi się wypoczynek.

— A zatem o ósmej lub wpół do dziewiątej, wcześniej nie mogę sobą rozporządzać. Mój dziennik zabiera mi jednak więcej czasu, aniżeli sądziłem.

— Czy jesteś z tego niekontent?

— Tak i nie. W gruncie rzeczy to regularne zajęcie dobrze na mnie oddziaływa. ale być tak haniebnie związanym! Gdyby nie ten zdradziecki kontrakt z panem Wendelin byłbym teraz wolnym człowiekiem i miałbym najpiękniejszą sposobność ułowić teraz Edytę w swoje sidła. Przysięgam Ci, że następnym pociągiem byłbym już poleciał!

— A twoja żona?

— Żona? tę trzebaby okłamać, jakieś interesa, literackie zniesienia się, czy coś tam takiego. W ostatnim razie mogłaby mi towarzyszyć. Pod pewnemi względami byłoby to nawet praktyczniej!

— Dzięki Bogu, że jesteś związany. Pan Wendelin nie wiedząc o tem, wielkie kładzie zasługi dla moralności. Biedna twoja żona, smutne to doprawdy.

Rudolf zwrócił teraz rozmowę na inny przedmiot. Gawędziliśmy jeszcze z pół godziny, przechadzając się po alejach przedmieścia; poczem wróciliśmy się i pożegnali, powtarzając sobie: do widzenia. — Punkt o ósmej byłem na miejscu. Zastałem już mego przyjaciela w salonie.

— Załatwiłem się wcześniej, aniżelim sądził — powiedział trochę zmięszany. — Julia mi pomogła...

— Wybornie! — odrzekłem znacząco. — Żona jest naturalną pomocą męża.

— A widzisz zawołała Julia — z trudnością przyszło mi tę regułę w czyn wprowadzić...

— Ale jakże mogłem wiedzieć — wybąkał Rudolf z śmiesznym zapałem. — Wystaw sobie, traktat nad filozoficznemi listami Zenkharda!... Chciałbym widzieć autora, któryby tak delikatny przedmiot swojej żonie powierzył?

— Dlaczegóżby nie? dodała Julia z prostotą. — Materjał był zebrany, plan zrobiony, trzy czwarte całej pracy wykończone... Zresztą treść tej książki zachowałam jeszcze w pamięci...

— No i próba pod każdym względem się udała, ale wiedzieć przecie nie mogłem, że jesteś takim cudem uczoności...

— W istocie zdumiewasz mnię pani — rzekłem z niekłamanem podziwieniem. — Potrzeba długich i poważnych studyów, by zrozumieć dzieło tego rodzaju...

— Nieprawdaż i ja to powiadam! — podjął Rudolf z żywością. — Sądziłem, że dzisiejsze nasze panie zajmują się tylko sonetami i angielskiemi romansami. Przyznać muszę, że się omyliłem, cztery oczy zawsze lepiej widzą jak dwa, a czasem nazbiera się tyle roboty przed samym końcem, że aż oddech w piersiach zapiera. Ale nie podasz nam dziś co, droga Julio?

— Natychmiast — odrzekła Julia — patrząc na zegarek. (C. d. n.)

RÓŻNOŚCI ZE ŚWIATA.

Tegoroczne mody paryskie. Jedna z szanownych a pięknych czytelniczek naszych pisze z Paryża:

„Niepogoda, jaka tu ciągle panuje, wstrzymała zupełnie lub chwilowo wiele osób od wyjazdu do wiejskich posiadłości lub też do kąpieli morskich.

Księżna de S. skorzystawszy z tej okoliczności, urządziła u siebie jedno z tych świetnych przyjęć, których nikt lepiej nad nią organizować nie potrafi.

Bal ten był równie okazały jak wydany przez księżnę w roku przeszłym na cześć księżnej Walii.

Najprzód 600 zebranych osób zasiadło do kolacji, podanej na 60 małych stołach, po 10 nakryć na każdym. Dokoła sala przybraną była prześlicznemi świeżemi kwiatami i roślinami.

Przy jednym ze stołów zebrało się towarzystwo najpiękniejszych kobiet, których prawdziwie cudowne stroje zbytkiem swym i pięknością olśniewały wszystkich, tworząc nie łatwy do zapomnienia obraz... Księżna de S. ubrana była w suknię tiulową niebieską, girlandami z róż mchowych i frendzlą z traw srebrnych bogato narzuconą.

Głównem znamieniem obecnej mody jest, iż przednia część sukni pokrywa się prawie całkowicie kwiatami. Tualety w ten sposób wykonane pierwszy raz w arystokratyczne salony na tym balu wprowadzone zostały.

Hrabina de P. wystąpiła w tualecie białej atłasowej, której przednia część i fartuszek całkowicie kwiatami brzoskwiniowemi przybraną była, podczas gdy *paniers* z tiulu i pozostała część sukni wcale na sobie kwiatów nie nosiły.

Przy tych półkwiatowych tualetach cały tył głowy siatką z kwiatów się zdobi, tak że strój ten sprawia efekt kapelusza kwiatowego.

Hrabina de L. miała na sobie suknię z czarnej gazy, z małych pufów, jeden z pod drugiego wychodzących, złożoną. Pufy podtrzymywały bukieciki z gwoździków wiśniowo-czerwonego

koloru. Stroik na głowę składał się z marabont i półwieńca czerwonych goździków.

Hrabina Hubertowa de M. wyglądała prześlicznie w kostjumie Marji Antonetty. Suknia jej była z materji jedwabnej, w której na białem tle różnokolorowe kwiaty wypukło występowały.

Hrabina D. miała podobną toaletę białą z różowem, zupełnie bez kwiatów, przybraną jedynie prawdziwemi i niezmiernie kosztownemi koronkami „Maline".

Największa część ubrań głowy składała się z kwiatów naturalnych, które z perłami i brylantami pomięszane znowu teraz bardzo w modę wchodzą".

Pocałunek jest jednym z najbardziej wpływowych czynników w stosunkach ludzi.

Kojarzy on i rozłącza, godzi i kłóci, uniewinnia i oskarża, a ileż to razy zdarzyło mu się figurować przed sądem, w charakterze występku lub powodu do sprawy.

Obecnie jednak w Berlinie pocałunek wystąpił przed sąd w charakterze dotąd mu niezwykłym.

Idzie mianowicie o „zadanie" pocałunku mężczyznie wbrew jego woli przez kobietę...

Skarży się na to pewien poważny obywatel, *rentier*.

On siedział ze swymi przyjaciółmi w restauracji i pił szampana, *ona* zaś była młodą i piękną kelnerką — pocałowała go w twarz...

Wszyscy świadkowie zdarzenia uważali to za prosty i zabawny żart, ale szanowny obywatel jest żonaty, a magnifika (w miarę brzydka) gdy do uszu jej doszła wieść o strasznym „występku" zrobiła mu scenę i zażądała zapozwania kelnerki przed sąd.

Rentier rad nie rad chce się uniewinnić przed małżonką i zapozywa kelnerkę przed sąd „o gwałtowne zadanie pocałunku".

Berlin cały z niecierpliwością oczekuje motywów wyroku...

Pęknięcie balonu. W Berlinie aeronauta Securius urządził wielki balon, w którego łódce mogło zająć miejsce 8 osób i wypuszczał go na linie do pewnej wysokości. Ostatniej niedzieli po trzykroć balon szczęśliwie wzbił się w górę z amatorami powietrznej jazdy i został ściągnięty, za czwartym jednak razem doznał wypadku, który cudem tylko prawdziwym skończył się bez wielkiego nieszczęścia. W łódce balonowej tym razem oprócz aeronauty znajdował się pewien sekretarz rządowy, pewien kupiec i rzeźbiarz. Balon, wypuszczony o godzinie 6 minut 35 wieczór, w wysokości około 100 stóp nad ziemią napotkał dwa przeciwne i dość silne wiatry, które formalnie zatoczyły go jak piłką po nad jakiś ogród prywatny. Tu nagle pękł i począł z szybkością spadającego głazu spuszczać się pionowo ku ziemi. Maszyna parowa, zwijająca linę, na dany sygnał natychmiast wprawioną została w ruch, nie zdołała już jednak powstrzymać opadającego balonu, który teraz pociągany liną bezpieczeństwa w wielkich zygzakach zbliżał się do ziemi. Szczęściem w stanowczej chwili zaczepił się o drzewo i druty telegraficzne i uwisł tym sposobem w niewielkiem od ziemi wzniesieniu. Przerażenie widzów opisać się nie da; wielu z nich odrętwiało i oniemiało na widok grożącej podróżnym okropnej śmierci, tymczasem ci ostatni oprócz przestrachu i lekkich kontuzyj nie ponieśli żadnego uszkodzenia. Pomiędzy widzami kilka pań omdlało, dano im jednak szybką pomoc w pobliskim hotelu.

Starych kawalerów chcą osobno opodatkować w Brazylji. Wniosek w tym względzie przedłożony został parlamentowi w Rio de Janeiro przez deputowanego Martin Francisco, który motywował go w ten sposób, że obywatele żonaci zkąd innąd już ponoszą wiele różnych ciężarów, utrzymywać muszą żonę i wychowywać dzieci, podczas gdy starzy kawalerowie „są tylko wiecznymi wichrzycielami w stosunkach towarzyskich" — słowem słuszną jest rzeczą, aby ci panowie opłacali się za swoje stare kawalerstwo 50 dolarami rocznie. Rozprawa nad tym wnioskiem otwarta, zawierała wiele zabawnych momentów, nie doprowadziła jednak w pierwszym dniu do stanowczego rezultatu.

W Karlsbadzie zaszedł wypadek, który na chwilę zakłócił błogi spokój pijących wody i wywołał mnóstwo różnorodnych komentarzy.

Jak wiadomo, istnieje tu kawiarnia „pod Słoniem", w której po ukończeniu picia wód, mnóstwo osób zgromadza się na kawę. Kawa podaje się na osobnych stoliczkach, około których może się pomieścić 4 do 5 krzeseł.

Ponieważ natłok gości jest wielki, pomiędzy godziną 7 i pół a 9-tą z rana wszystkie miejsca bywają zajęte, tak, że trudno w tym czasie o pomieszczenie.

Niektórzy jednak z gości kąpielowych, a głównie Niemcy, mają zwyczaj, że siadając przy takim stoliczku, zastawiają resztę krzeseł w tej myśli, że kto ze znajomych do nich się przysiądzie.

Jest to nadużycie, gdyż tym sposobem uszczuplają miejsc dla tych, którzy ich potrzebują.

Owóż zdarzyło się, że znany i szanowany powszechnie obywatel z Prus zachodnich pan Ł. przybył do kawiarni w chwili, w której wszystkie miejsca były zajęte. Zbliżył się więc do jakiegoś gościa (zdaje się Niemca rodem), dysponującego czterema pustemi krzesłami i poprosił grzecznie o jedno z nich.

Niemiec odmówił.

Pan Ł. powtórzył prośbę, dając za powód, że drugiego miejsca niema, a po odmowie jeszcze kategoryczniejszej, nie pytając się już więcej, zasiadł na krześle.

Wówczas Niemiec powstał z miejsca:

— Wynoś się pan! — rzekł.

— Czyś pan oszalał? — zapytał pan Ł.

— Wynoś się pan albo pana za drzwi wyrzucę! — powtórzył Niemiec i uderzył pięścią w gazetę, którą pan Ł. trzymał w ręku.

Na te słowa, albo raczej na ten giest, pan Ł. powstał także i wymierzył przeciwnikowi policzek, a to tak energicznie, że aż biedak upadł na ziemię.

Porwał się natychmiast, a wraz z nim inni, ale pan Ł. stanąwszy w postawie obronnej, podał bilet wizytowy, który trzymał w ręku, mówiąc:

— Jeżeli panowie macie jaki interes do mnie, to nazywam się tak i tak, mieszkam pod wskazanym na bilecie adresem i w każdym czasie panom służę.

Bilet wzięto, ale nikt z obecnych, a nawet pokrzywdzony nie podał swojego.

I stało się to bardzo konsekwentnie, gdyż wniesiono skargę do policji i pan Ł. skazany został na zapłacenie 10 reńskich kary.

W ten sposób rozwiązała się owa słoniowa epopeja, skończyło się bowiem na przelewie nie krwi, ale kawy...

Aforyzmy. Jeżeli znajdziesz gdzie dobrą wodę — porzuć piwo i zacznij pić... wino.

Lekarz i prawnik wszystko prawie jedno; jeden zna *corpus juris*, drugi — *jus corporis*.

Różnica pomiędzy lekkomyślnym a biorącym kubany jest ta, że pierwszy bierze wszystko za dobrą monetę, a drugi — dobrą monetę za... wszystko.

Świat jest jak arka Noego: dużo zwierząt a mało ludzi.

W życiu są rzeczy, które nic o sobie nie mówią, lecz dobrze się czuć dają — n. p. kije!

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.